

Cecylia Grygo

z d.Gendzwiłł

ul.Konopnickiej 8 m 24.

 ARCHIWUM WSCHODNIE

Nazywam się Cecylia Grygo. Mój ojciec był rolnikiem. Posiadał gospodarstwo znacznej wielkości w Rajgrodzie. Przypuszczam jednak, że nie to było przyczyną naszej wywózki a przynajmniej przyczyną nienajważniejszą i nie jedyną. Otóż w tym czasie otrzymaliśmy list od brata z Kozielska. Brat prosił w liście, aby mu przysłać paczkę: trochę smalcu, jakąś ciepłą bieliznę. Ojciec poszedł z paczką na pocztę, ale tam paczki nie chciano przyjąć. Ojciec nie dał za wygraną i poszedł do miejscowego NKWD z prośbą o zezwolenie. Na poczcie bowiem uzależniono przyjęcie przesyłki od zezwolenia NKWD. Brat, o którym mówię, poszedł na wojnę jako porucznik rezerwy. Przed wojną mieszkał w Brzeżanach. Na imię miał Stanisław. U niego spędzałam ostatnie, przedwojenne wakacje. Kiedy od niego wyjeżdżałam, odwiózł mnie do autobusu, mając już kartę mobilizacyjną. W ostatniej chwili, zupełnie bezwiednie, zawołałam do niego: "Stachu, nie idź na wojnę." Natychmiast poczułam się głupio, bo słyszeli to obok stojący ludzie. Co oni o mnie pomyślą: jestem przecież uczennicą, harcerką i jaka ze mnie Polka.

NKWD zezwolenia oczywiście nie wydało. Napisaliśmy więc do brata, że paczki wysłać mu nie możemy, bo nie możemy uzyskać stosownego zezwolenia. Napisalam mu także, że nie chodzę do gimnazjum na co on mi jeszcze odpowiedział listownie, że szkoda, że jednak powinnam pójść do szkoły. Muszę powiedzieć, że tę ostatnią kartę od niego jakimś cudem zachowałam do dziś. Sądzę, że to była główna przyczyna naszej wywózki. Dodatkowym dowodem na poparcie tej tezy jest też niebagatelny fakt, że oprócz nas

w naszym transporcie nie było rolników.

W transporcie byli:

- żona nauczyciela, już wcześniej aresztowanego przez bolszewików,
- żona masarza, też już aresztowanego przez bolszewików,
- pani Kampowa, której mąż był albo w straży granicznej czy policjantem; raczej chyba jednak w straży granicznej.
- trzy żony policjantów z dziećmi.

Jeśli chodzi natomiast o rolników, to jak już powiedziałam, myśmy byli tylko jedni. Głównie zaważyło to, że brat był w niewoli sowieckiej.

W przeddzień wywózki, 12-go kwietnia byłam z koleżankami na spacerze. Miałam na sobie jeszcze gimnazjalny płaszcz. Dzień 12-ty kwietnia był ładnym, słonecznym dniem. Poszłyśmy z koleżankami na spacer "do kapliczki", bo przed Rajgrodem, przy szosie stała kapliczka i często chodziłyśmy do tamtego miejsca w czasie spacerów. Kiedy wracałyśmy, mijałyśmy duży, murowany dom, który stoi tam do dziś. Nazywano go "mur Krymowa". Właściciel tego domu był "białogwardiejcem" a jego prawdziwe nazwisko nie było Krymowa. Nazywał się jakoś inaczej, nie pamiętam w tej chwili. W tym właśnie domu urzędowali NKWD-yści. Właśnie naczelnik tegoż NKWD przyszedł nas aresztować. Sam naczelnik przyszedł prawdopodobnie dlatego, że u mnie w domu było dwóch dorosłych mężczyzn, braci, oraz ojciec. Wobec trzech dorosłych mężczyzn być może spodziewali się jakiegoś oporu. Kiedy znalazłyśmy się naprzeciw tego domu, stojący tam NKWD-yści razem ze swoim naczelnikiem jakoś tak dziwnie na mnie popatrzyli. Wówczas jedna z moich koleżanek powiedziała, nawiązując do mojego gimnazjalnego płaszcza rzekła: "Ty zmień te błyszczące guziki, bo to im kojarzy się z policją." W dodatku na berecie też miałam znaczek gimnazjalny. Takie bowiem były przed wojną

obyczaje. Ta koleżanka, mając już, podobnie jak i chyba wszyscy, wiadomości o wywózkach doradziła mi: "Wiesz, ty powinnaś mieć wszystkie swoje lepsze rzeczy spakowane. Ja ze swoimi rzeczami już tak zrobiłam."

Usłuchałam jej. Po powrocie ze spaceru faktycznie zebrałam swoje najnowsze rzeczy, włożyłam do walizki i wsunęłam pod łóżko. Tam też, na dno włożyłam trzy tysiące srebrnych polskich złotych, które kiedyś dał mi na przechowanie ojciec. Na wierzchu położyłam ryngraf Matki Boskiej Ostrobramskiej, który przywiozłam z wycieczki z Wilna w 1939-tym roku. Pomyślałam, że Matka Boska będzie tam pilnować moich rzeczy.

Przyszli o drugiej w nocy. Z wielkich hałasem stukali do drzwi. "Otkrojtie, budiem diełat'obisk." Na skutek tego nikt z nas nie spodziewał się, że będą nas wywozić. W tym przekonaniu utrwalił nas fakt, że wcześniej nakazano ojcu przygotować furmankę na następny dzień. W przeddzień przyszedł do nas mój wujek i powiedział, że coś niedobrego wisi w powietrzu, bo bolszewicy nakazali 20 furmanek do Grajewa. Czy nie będą robić wywózki. Ojciec mój odrzekł na to, że nas chyba nie wywiozą, bo nam też nakazano przygotowanie furmanki. I wszyscy poszliśmy spokojnie spać.

O drugiej w nocy przyszli: naczelnik NKWD, kilku żołnierzy a z nimi taki Żydziak, kosomolec. I dlatego teraz licho mnie bierze, gdy słysze o antysemityzmie i prześladowaniach Żydów przez Polaków. Co oni z nami robili? Jak oni się do nas odnosili, gdy przaszli bolszewicy?

W czasie ^zarestowania mój ojciec był załamany. W swoim dotychczasowym życiu był ciężko doświadczony: dwukrotnie się spalił, dwukrotnie ratował się ucieczką. Teraz znowu widzi, że coś się może stać. Ja chodziłam z NKWD-yстами. W komodzie leżały moje książki gimnazjalne oraz zeszyty. Przechowywałam to, bo mi żal

było sprzedawać. NKWD-ysta popatrzył na nie i zaczął początkowo je oglądać. Kiedy jednak stwierdził, że jest tego dużo, zapytał mnie, czy tu nie ma nic przeciw "sowieckoj własti". Odpowiedziałam: "proszę bardzo, czytajcie."

W ostatniej szufladzie były moje listy związane różową tasiemką, jak to zwykle czynią uczennice. Były to listy od moich koleżanek z Grajewa. Opisywały mi one aresztowania, jak się zachowują w tych czasach nasze koleżanki i nasi koledzy gimnazjaliści, nasi profesorowie. I ten NKWD-ysta, ten bolszewik oddaje mi to ze słowami: "Eto każetsa wasze". A ten Żydziak wyszarpuje mi to zbręki i mówi: "Nu pasmotrim, czy nie ma tu czego protiwo wieckoj własti." Odpowiedziała: "A bierz, bierz, abys tylko czytać umiał."

W szafie stały pamiątki po moim bracie. Były to nagrody, jakie uzyskał on na zawodach strzeleckich, bo bardzo dobrze strzelał. Na obozie SPRP w Czerwonym Borze, 1-go grudnia 1931-go roku zajął pierwsze miejsce w strzelaniu na 300 m. Ponadto otrzymał nagrodę klubu rodzin wojskowych oraz, też w tym samym dniu - nagrodę za strzelanie z pistoletu.

W trakcie rewizji znaleziono je. NKWD-yści zaczęli je oglądać a następnie zapytali mnie, co to jest. Odpowiedziałam im, że są to nagrody mojego brata, który obecnie jest w niewoli. Na to NKWD-ysta: "U nas nagród nie dawali a myśmy wojnę wygrali." Coś mu na to odpowiedziałam, już nie pamiętam, co.

Wreszcie rewizja dobiegła końca. Nadal nic nie wskazywało na to, że nas wywiozą. Wówczas NKWD-ysta powiedział: "Nuka sobirajties', pajedietie...". Nie powiedział, że na Syberię, tylko że oni nas przesiedlają. Tata podniósł lament.

Kazano przyprowadzić tego, komu zamierzamy przekazać gospodarstwo. Brat poszedł po wujka, który mieszkał w końcu naszej ulicy Szkolnej. Ten wujek już nie żyje. Myśmy zaczęli pakować się.

Jeden z nadzorujących nas żołnierzy był bardzo sympatyczny. Ja byłam bardzo zdenerwowana. Moja wujenka pakowała rzeczy do worka a ja wyrzucałam. Zachowywałam się tak dlatego, że krążyła wiadomość, że w poprzednim transporcie ludziom zabrano ich rzeczy. Pomyślałam, że nie będę kacapom tego wozka. Lepiej niech to tutaj zostanie, Polakom. A ten żołnierz powiedział: "bieri, eto tiebie wsio prygaditsia." Na koniec zdjęłam ze ściany obrazek Matki Boskiej Częstochowskiej, który wisi w Rajgrodzie do dzisiaj. A żołnierz na to: "po co tobie to?" A ja mu na to: "a to już nie twoja sprawa tylko moja."

Wychodząc, uklęknęłam, pomodliłam się przed dużym obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej. I wyszliśmy.

Zawieziono nas do budynku w Rajgrodzie, w którym obecnie mieści się chyba poczta. Tam dopiero zobaczyliśmy, kogo oprócz nas aresztowano. Przywieziono:

- panią Miliszewską z trojgiem dzieci,
- " Sokołowską z dwojgiem dzieci; dziewczynka miała osiem miesięcy
- panią Kampową, żonę strażnika granicznego, z trojgiem dzieci, chłopczyk miał siedem miesięcy. Jej mamę, panią Orzechowską, żonę po policjancie - jej mąż jeszcze żył, ale akurat go wówczas nie było.
- panią Toruniową, żonę komendanta policji, z trojgiem dzieci,
- panią Majewską, żonę policjanta z trojgiem dzieci,
- panią Kochalską, żonę strażnika, z dwiema malutkimi dziewczynkami,
- panią Helbinową, była bezdzietna.

Wszystkich nas tam zebranych załadowano na furmanki i zawieziono do Grajewa.

Zapomniałam dodać, że jeszcze w Rajgrodzie przywieziono

na punkt zborny moją koleżankę, Irkę Perkowską. Była ona nieco starsza ode mnie. Uczyłam się z jej bratem. Podczas aresztowania jej matka uciekła i przesiedziała w chlewku w podwórku. Pytała przez znajomą, czy powinna wyjść. Tamta poradziła jej, że nie, bo gdzieś na wsi ukrywał się jej brat. Ojciec był po stronie niemieckiej. Irka pojechała sama. Była chyba starsza ode mnie o dwa lata.

W Grajewie trzymali nas do zmroku. Przychodziła masa ludzi. Transporto ruszył z Grajewa dopiero o zmroku. Dziś już nie pamiętam, ile liczył wagonów.

W pewnym momencie, ze wszystkich wagonów, runął śpiew, "Nie opuszczaj nas."

Przyjechaliśmy do Białegostoku. Tu nas znowu długo trzymano, bez niczego.

Jeszcze muszę powiedzieć: w Grajewie przywieziono ze Szczuczyna dwoje staruszków. Ją przywieziono z fotelem. Pnieważ ta kobieta nie mogła stawać, w dnie fotela bały zrobiona dziura, przez którą ona załatwiała swoje potrzeby fizjologiczne. Miała ponad siedemdziesiąt lat a on był od nie starszy. Ponieważ aresztowano wcześniej ich syna, policjanta, ona dostała wylewu. Tych dwoje staruszków wieźli w naszym wagonie.

W naszym transporcie jechała moja koleżanka, Brajczewska. Jechała z mamą i dwumiesięcznym braciszkiem, Januszkiem. Była też pani Załuskowa ze Szczuczyna, żona nauczyciela. Była też pani Jonkajtisowa /jeden z tych Jonkajtisów jest w Bielsku Podlaskim nauczycielem/.

Wyposażenie wagonów było zwyczajne jak na takie okazje: prycze, golutki zupełnie. W tym trójka malutkich dzieci: osiem, siedem i dwa miesiące.

Wreszcie, po długim postoju ruszyliśmy. Po stronie polskiej

nie wypuszczano nas wcale. Rygor zelżał dopiero po stronie sowieckiej. Zaczęto dawać nam "kipiatok". Tam w Rosji, na którejś stacji po raz pierwszy zobaczyłam kolejki. Miałam ze sobą trochę rubli i poszłam coś kupić. Stałam z koleżanką w tej długiej kolejce. Sprzedawano tam wino i coś jeszcze. W kolejce, przed nami stał jakiś wojskowy. Zapytał mnie, czy jestem Polką. Odpowiedziałam, że tak. Wówczas on odstąpił mi swoją kolejkę. Kupiłam czerwone wino i chyba jedną czekoladę. Wróciliśmy do naszego "szalonu".

Przejeżdżaliśmy przez Ural. Przywieźli nas do Pawłodaru. Z pociągu przewieziono nas ciężarówkami na olbrzymi plac. Tam, po raz pierwszy zobaczyłam Kirgizki w olbrzymich zawojach na głowie. To właściwie nie były zawoje lecz coś takiego, jak noszą nasze zakonnice, tylko nieco dłuższe. Tam myśmy byli w namiotach. Część z nas ulokowano w budynku. Ponieważ nie było gdzie gotować a to było niezbędne ze względu na małe dzieci, palono małe ogniska między dwiema cegłami, na których to cegłach stawiano garnek. Nadzorujący nas żołnierz chodził i krzykiem zabraniał tego. Wówczas mój brat, który teraz jest w Londynie, był bardzo pomysłowy, gdzieś znalazł beczkę, prawdopodobnie za papierosy. Były to beczki, jak mówiono, po "gariuczym" czyli po materiałach pędnych: po benzynie albo po nafcie. Beczkę postawiono na dnie, przez wlew wrzucano jakieś patyki i tak palono. Beczka szybko nagrzewała się do czerwoności i wszyscy z placu korzystali z tego. Wówczas ponownie przyszedł żołnierz z pretensjami, że "truby niet." /komina/. Wówczas mój brat znalazł gdzieś kawałek blachy, zwinął w rulon, wstawił w wybitą dodatkowo w beczce dziurę. Była już truba i nie miał już pretekstu, aby do czegoś się przyczepić.

Na tym placu trzymano nas przez trzy dni. Następnie załadowano nas na statek. Tam, na statku nas oblażyły wszy. Jechaliśmy razem z Ukraińcami.

Płynęliśmy w kierunku Omska. Wyładowano nas w Irtyszysku. Jest to miasto nad Irtyszem. Tu odbył się handel niewolnikami. W naszej rodzinie było trzech mężczyzn: tatuś i dwóch dorosłych braci. Tata wówczas miał 55 lat. Ponieważ nasza grupa była zdecydowanie żeńska, nic więc dziwnego, że wszystkie panie trzymały się nas.

Wreszcie załadowano nas na furmani^k zaprzężone w woły. Tu po raz pierwszy widziałam ten ich "postęp". Przywieziono nas do sowchozu. Nazywał się "miaso-mołocznyj, Kajmaczyński sowchoz", Irtyszewskij rejon, Pawłodarska Oblast'. Do rejonu - Irtyszewska - było 20 km.

Władowano nas wszystkich do dużej, ciemnej bo pozbawionej okien, stodoły. Nie było tam podłogi lecz klepisko. Mężczyzn i dorosłych pognano natychmiast do roboty.

Po jakimś czasie zaczęto rozprowadzać nas po ziemlankach. Tam zresztą były tylko ziemlanki. Nie przypominam sobie tam normalnego mieszkania. Podobno był tylko taki jeden dom w centrali, gdzie rezydował dyrektor. Nawet miejscowy szpital też mieścił się w ziemlance. Nam przydzielono barak, który wcześniej był izolatką dla chorych cieląt. Nie było tam nic, nawet płyty do gotowania. Było to pomieszczenie gdzieś 3x4 m. Nas tam było chyba 8 osób. Teraz przypominam jeszcze, że z Rajgrodu wywieziono chłopca, który miał 14 lat. Nazywał się Heniek Morawski. Był bez rodziców. Mieszkał razem z nami. Z nami mieszkała też początkowo Irka Perkowska. Później, ponieważ u nas było dużo mężczyzn a to ją krępowało, poszła mieszkać gdzie indziej.

Zapomniałam dodać, że wywieziono też panią Blumową, sześćdziesięcioletnią staruszczką. Ona uciekła z Rosji po rewo-

lucji w 1921-ym roku. Jej ojciec był powstańcem z 1863-go roku, mąż jej był "białogwardziecem". Po powrocie do Polski był nadpułkownikiem lub czymś takim w straży granicznej. Jej męża aresztowano a ją wywieziono. Była sama. Mieszka-
liśmy więc tak: w jednym pomieszczeniu mieszkała nasza ro-
dzina z Heńkiem Morawskim, w drugim mieszkała pani z Kowla,
z dwojgiem dzieci. Ona tam zresztą umarła. Zaraz w pierwszym
roku naszego tam pobytu ją tam aresztowano. A tych dwoje dzie-
ci zostało. Razem z nią mieszkała pani Mileszewska z trojgiem
dzieci, pani Majewska, pani Sokołowska. Wszystkie nas pomiesz-
czono w tym baraku, w tych klitkach. Okienko w pomieszczeniu
było przy samej ziemi, bo to była ziemianka. Płyty żadnej
tu też nie było.

Moi bracia przy pomocy pań postawili z gliny bardzo prowi-
zoryczną kuchnię. Na wierzchu położyli trochę blachy, żeby
było na czym gotować. Z desek zbili, zwane tam "nary". Były to
prycze do spania. Ponieważ moi bracia poszli do pracy a jeden
trafił do kuźni, coś można było "skombinować" z tych rzeczy.
Mój ojciec został dozorcą. Zaraz wszystkich Polaków popędzono
do Pracy.

Nas, dzieci, początkowo nie ruszano. Po jakimś jednak czasie
zagoniono do pielienia.

W kołchozie a właściwie sowchozie była hodowla owiec, by-
ło też trochę ~~owiac~~ krów. Było tego ponad 900. Wiem to dokład-
nie, ponieważ później, gdy wybuchła wojna, zostałam w kołchozie
"uczotczykiem". Nie pytano mnie, czy ja chcę i czy potrafię,
czy znam język rosyjski czy nie. Ponieważ w dokumentach było,
że mam cztery klasy gimnazjum, kazano mi i skończona sprawa.

Początkowo pracowałam na "propowce" czyli przy pielieniu.
Tam nie było widać zboża tylko pikuny. I ja wspólnie ze Stef-
cią Marcówną /nie wiem, gdzie ona teraz jest/ pełam wyznaczo-

ne przez brygadzystę pasy zboża. Ten piołun był tak wysoki, że aż mi się niedobrze zrobiło. W pewnym momencie ja nieco przymdlałam. Stefcia myślała, że ja umieram, bo było bardzo gorąco i słońce piekło niesamowicie. Ona zrobiła mi taki szalas z piołunów i za wszelką cenę prosiła: "tylko nie umieraj."

O wyrobieniu normy nie było mowy. Tam wszystko było normowane. Praca dzieci też.

Zastanowiło nas jedno: obok nas pracowała taka stara żona kolejarza, pani Hubowa. Ona wyrobiła normę w jeden dzień, na drugi dzień też. Stefcia w pewnej chwili powiedziała: pójdę zobaczyć, jak ona to robi, że ona jedna więcej robi niż my dwie. Okazało się, że pani Hubowa łamała piołuny. Nie wrywała, bo wrywać było bardzo ciężko, lecz łamała. Dzięki temu miała jeszcze czas posiedzieć i odpocząć. Od następnego dnia my też zaczęłyśmy tak pracować. I zaczęłyśmy wyrabiać tę normę. Po jakimś czasie dyrektor powiedział: "ot Paliaki obmańszczyki, kak tolko dożdżik poszoł, opiat zrobiło się zielenieńko." Znowu zboża nie było widać tylko ten sam piołun. Tak wyglądała moja pierwsza praca.

Później ja sama zgłosiłam się na pierewozczyka przez rzekę. Zaczęły się siankokosy nad Irtyszem. Obok nas płynął dopływ Irtyszu, Karatun. Między Irtyszem a Karatunem były łąki. Trzeba było przewozić łódką robotników na drugą stronę rzeki. Ponieważ chciałam być w pobliżu domu, żeby coś było można ~~było~~ zrobić czy przygotować, zgłosiłam się na tego pierewozczika. Zresztą wiosłować bardzo lubiłam, uważałam to za atrakcję. Ważne też było i to, że dostawałam ten pajok chleba. Bo tak nie dostawałabym nic w myśl zasady: "nie ~~rabotajesz~~, nie kuszajesz." Wówczas jeszcze te pajki nam dawali bo później to i pajkow nie było.

Miałam, pamiętam, obierki z ziemniaków. Pomyślałam sobie, że szkoda tracić czas. Te obierki posadziłam nad rzeką, we żwirze.

Na niewielkim obszarze ścięłam trawę, wokół wykopałam rów, żeby mi tam krowy nie wchodziły i te wykiełkowane obierki posadziłam. Rosjanki śmiały się ze mnie. To był już koniec czerwca i że mnie nic już nie wyrosnie. I wyrosły dorodne, czyściutkie ziemniaki, że one same się dziwiły. Ponieważ ja tam prowadziłam majowe nabożeństwa, modlitwy, a to odbywało się na zewnątrz, bo w baraku były straszliwe pluskwy, Rosjanki twierdziły, że chyba mnie pomógł "Boh", bo jakim cudem na tym zwierze mogły wyrosnąć ziemniaki.

Oprócz pluskiew prawdziwą zmorą były komary. Ustalono specjalne dyżury wieczorne, w czasie których panie chodziły z dymiącymi naczyniami, aby je odstraszyć. Palono też ogniska, przy których śpiewaliśmy polskie pieśni.

Nasze Polki pracowały tam bardzo ciężko. Musiały wyrzucać nawóz z baz. Żartowały sobie nawet, że Związek Radziecki czekał od rewolucji aż do wywózki, żeby Polki przyjechały i im nawóz wyrzuciły, bo tam bałagan był niesamowity i wszędzie.

Innym naszym zajęciem było wyrabianie "samanów". Były to cegły podobne do naszych pustaków. Kiedy budowano tamtejsze ziemianki, najpierw budowano dół. Następnie, właśnie z tych cegieł dobudowywano górę. Dach tworzyły gałęzie. Okienka były przy samej ziemi. Te ściany trzeba było wymazać z zewnątrz i z wewnątrz. Z zewnątrz mazano ściany gliną zmieszaną z nawozem końskim, żeby to było trwalsze i lepiej trzymało a od wewnątrz, żeby to było gładkie i ładne, też gliną ale zmieszaną z krowim nawozem. Tam nawóz był w takiej cenie, że ludzie klócili się o nawóz. Jeżeli krowa zrobiła kupę, Rosjanki i Kirgizki nie pozwalały tego zabierać, bo to był cenny surowiec na opał po wysuszeniu.

Tu wracam jeszcze do pielienia. Kiedyś wracamy z pielienia

i słyszymy, że we wsi jest szum. Okazało się, że nasi chłopcy przy bazach, gdzie wyrzucano nawóz, rosły pieczarki, zbierali te grzyby. Był tam syn pani Majewskiej oraz Fredek Sokołowski. /teraz mieszka w Rajgrodzie i pewnie ma już wnuki/ Trzeba trafić, że w tym czasie baza zapaliła się. Pożar był niewielki. Najwyraźniej szukano pretekstu, aby aresztować pewne osoby. Natychmiast przyjechało NKWD na badania. Było to w nocy. Chłopców trzymano tam dość długo. Po jakimś czasie przybiegł Fredek bez czapki, którą zostawił w NKWD. Powiedział, że NKWD-yści twierdzą, że to oni podpaliłi. Jeśli nie powiedzą, kto im kazał podpalić bazę, to będzie źle. Straszono ich oraz natychmiast podsunęto nazwiska. Z nami mieszkała pani kapitanowa Bydlińska z dwiema córkami /Hanką i Danką/;` Był też Żyd Kuper, który lubił handlować. Także w czasie sianokosów dużo im pyskowała pani Marcowa, która mieszkała w naszym baraku. Ciągłe mówiła żołnierzom rosyjskim, że ich pociągi /rosyjskie/ chodzą bardzo szybko, oni słuchając tego byli bardzo zadowoleni. Polskie pociągi idą powoli. Oni, szczęśliwi z takiego obrotu sprawy, czekali na dalszą opowieść. A ona im tłumaczyła: Bo nasze idąc mówią: "muka, masło, sało, muka, masło, sało." Dlatego toczą się powoli. A wasze: "spiczki, machorka, spiczki, machorka". Ciągłe im tak pyskowała. I dlatego dzieciom podsunęto jej nazwisko, nazwisko Kupera jako spekulanta i żony tego oficera, pani Bydlińskiej. To oni mieli kazać dzieciom podpalić tę bazę. Aresztowali ich. Po trzech miesiącach matki wyszły: panią Majewską i panią Sokołowską. Natomiast pani Bydlińska siedziała do czasu ogłoszenia amnestii po zawarciu umowy Sikorski-Majski. Pani Marcowa umarła, jak już mówiłam. Dostała zapalenia nerek w więzieniu. A Kuper został. Ponieważ on był Żydem, jego zatrzymano. Została też w Rosji cała jego rodzina. Do Polski

nie wyjechali.

Jeszcze wcześniej aresztowano mojego brata podczas pracy na sianokosach. Lato było bardzo upalne. To był mój najstarszy brat. Na traktorze siedział Bułgar a brat był na kosiarce. Tam był prymityw nie z tej ziemi, nic nie było zabezpieczone. Z kominika traktorowego wydostawały się iskry. W upał zapaliła się już mocno podsuszona trawa. Zrobił się pożar. Mój brat, wiedząc, co z tego może wyniknąć, aż marynar~~kę~~ zgasił ogień. Ale przy tym spalił marynar~~kę~~.

NKWD pojawiło się bardzo szybko. Natychmiast ich aresztowano i zabrano. NKWD-yści pojechali a ich pognano pieszo, do Irtyszewska. Następnego dnia bratowa zebrała potrzebne rzeczy i poniosła to jako paczkę, do siedziby NKWD. Zapytała, czy jest taki na co otrzymała odpowiedź, że nie ma. Dopiero uborszczyca czyli woźna powiedziała, że to jest kłamstwo, że taki tu jest.

Po tygodniu brat wrócił do domu. Opowiadał, że trzymano ich w piwnicy. On im na tych badaniach powiedział, że oni dobrze wiedzą, że on się na tym nie zna, że on tego nie zrobił, że on doskonale zdaje sprawę co za to grozi. Cała ta sprawa powstała tylko dlatego, że on jest Polakiem. A ten drugi jest Bułgarem. Nie byłoby żadnej sprawy, gdyby chodziło o Rosjan. Dobrze zdajecie sobie z tego sprawę, że myśmy tego celowo nie zrobili. Jakoś miał szczęście, że go wypuszczono.

W tym czasie akurat wypadły imieniny Anny. Na naszej fermie pracowały przy sianokosach trzy panie, które miały na imię Anna. W tym też czasie zaczęły przychodzić paczki z Polski. One miały trochę wódki, mieszkały w jednym baraku, w którym mieszkał Oleg Kołdełko. Jego ojciec był ponoć Czechem a matka miała nazwisko Biełaja. Była więc chyba Rosjanką. Jakim cudem oni byli w Polsce, tego nie wiem. Ten Oleg był po pierwszym roku medycyny, a tam był pastuchem, pasł cielęta. Ponieważ brat

grał na gitarze, wróżył, przyszedł go zaprosić na imieniny. On był po pracy przy sianokosach, bardzo zmęczony. Tatuś nie pozwalał, tłumaczył, że chłopak jest zmęczony, że jutro o czwartej rano musi wstać. Ale tante panie nalegały, że tylko na chwilę. Na tych imieninach z mężczyzn oprócz brata był taki Józef Huba, kolejarz, mąż tej pani, która tak bardzo szybko pieliza zboże. Mój brat dobrze mówił po kirgizku a nie umiał po rosyjsku. Jak to na imieninach, opowiadano sobie anegdoty, śpiewali polskie piosenki.

Po jakimś miesiącu do wsi przyjechało NKWD i zabrało brata na badania. Tatuś coś przeczuł i poszedł za nim do centrali. Ale brat nie chciał nic nam powiedzieć, o co chodzi. Dopiero w październiku przyjechało NKWD, jak zwykle nocą, w tym czasie brat pracował w innym miejscu, odległym o cztery kilometry od naszej fermy, był "piszczykiem" w tamtejszym tartaku. W naszym domu zrobiono rewizję. W naszej ziemiance stały poustawiane walizki. To był rok 1940-ty. Jeszcze mieliśmy trochę ubrań. Bo trzeba wiedzieć, że tam za pieniądze jedzenia nie było można kupić. Słyszało się tylko: "dawaj adioż". Rewidujący nas NKWD-ysta popatrzył na nasze walizki i powiedział: "wy wybroście wasze czemodannyje nastrojennia." "Wy bolsze swojej Polszy nie uwidicie." Znalezli wówczas u tatusia pieniądze, w marynarce i powiedzieli: "Ty starik chcesz tu Polszu sdiekat'". Oczywiście te papierowe pieniądze zabrali. Natomiast z walizki zabrali - już tutaj Matka Boska Ostrobramska nie mogła ustrzec - to srebro. To srebro było w takim staroświeckim sakwojażu. Przeliczyli, że to było trzy tysiące srebra, dali na to pokwitowanie, a jakże, Znalezli też taki ma-lutki, złoty pierścioneczek. Należał on do mnie. Kiedyś kąpiąc się, zgubiłam od niego oczko. Ponieważ nie chciałam, aby tatuś

o tym się dowiedział, wrzuciłam pierścioneczek do jednej z walizek. I teraz NKWD-yści go znaleźli. Ten pierścionek, widząc, że to moje, zwrócił mi. Natomiast srebro zabrali. Następnie pojechali po brata i go zabrali. Myśmy nawet nie wiedzieli, że oni od nas pojechali po brata.

Następnego dnia bratowa poszła, poniosła mu kożuch, bo to już zbliżała się zima, poduszkę, bieliznę ciepłą. Tym razem znowu kłamali jej w żywe oczy, że takiego tutaj nie ma. Woźna pokazała jej palcem, aby bratowa podeszła do budynku z drugiej strony. Tam na placu stała ciężarówka, na której już siedział mój brat. Ruszał transport więźniów do Pawłodaru. Bratowa zdołała jednak wrzucić mu paczkę na samochód i ich powieziono.

Przez jakiś czas nie mieliśmy od niego żadnej wiadomości. Po pewnym czasie wyszedł z więzienia jakiś Rosjanin. Zaszedł do nas na fermę i przyniósł na szarym, pakowym papierze list od brata, napisany błówkiem. Brat pisał, że jest w więzieniu w Pawłodarze, że jeszcze go nie osądzono.

Tu muszę wrócić do tych imienin. Gdy aresztowano mojego brata i te trzy panie, tej samej nocy wywieziono wywieziono Kołdejkę z matką. Zawieziono ich do odległego o 60 km ziernosowchoza. Tam on awansował na księgowego. Ten awans na księgowego z pastucha świadczył niezbitcie, że to on złożył odpowiedni donos. Przez niego nastąpiło to aresztowanie.

Bratu zarzucano to, że on jest organizatorem polskości na tym terenie. Aresztowane panie go broniły. Mówiły, że one go zaprosiły na to przyjęcie. NKWD-yści twierdzili, że one dlatego tak mówią, bo on jest ich przywódcą.

Brata skazano z osławionego 58-go artykułu i zesłano na daleką północ. Kobiety też skazano i przewieziono na południe.

Brat pracował gdzieś na dalekiej północy, bardzo ciężko. Później pracował gdzieś przy łaźni. Pech chciał, że ta łaźnia zapaliła się. Tym razem skazano go na karę śmierci. I w tym czasie wydano amnestię, opartą na umowie Sikorski - Majski. Dzięki temu uszedł śmierci.

Kiedy jechał do wojska, z drogi napisał list, że jedzie bezpośrednio do polskiego wojska. Już nie pamiętam, czy on jechał do Buzułuku czy do Kermine. Do mnie zwracał się, abym pojechała do Pawłodaru i odebrała te jego rzeczy.

W tym czasie nam zaczęto wydawać wize, w trzech językach. Ponieważ w naszym baraku ja byłam najbardziej "gramotna", wszyscy zdecydowali, że będę mężem zaufania. Nie miałam też wielu obowiązków, jak na przykład matki z małymi dziećmi. Zajmowałam się gromadzeniem dokumentów i przygotowywaniem naszego wyjazdu.

Akurat było to w czasie siankosów, kiedy zwróciłam się do naszego "zootechnika" /zajmował się bydłem, wyjątkowo wredny człowiek-zaraza/. Naszym brygadirem był Niemiec, przywieziony ze swoimi ziomkami z okolic Saratowa w czasie, gdy Niemcy parli na wschód. Zresztą na siankosach było 60 osób stanowiących 14-cie narodowości.

Zwróciłam się więc do zootechnika, aby ten zwolnił nasze kobiety z pracy do łaźni, bo w dokumentacji musiało być zaświadczenie o pobycie właśnie w łaźni. Ponadto należało dołączyć zaświadczenie, że byłyśmy na odwszawianiu. Zootechnik mi na to odpowiedział: "A co to, wy chcecie nam zostawić wasze wszy?" Odpowiedziałam mu natychmiast, że to nie są nasze wszy tylko wasze. "A on na to: "A jak ty uznała?". Muszę tu dodać, że te wszy były duże i miały czarne kropeczki. I ja bez zastanowienia, jak to młoda, szesnasto lub siedemnastoletnią dziewcz-

czyna, palnęłam: "Bo każda ruskaja wosz imiejez zwiozdeczku." Tak sobie trzepnęłam językiem. Jak on się wówczas wziął za tę zwiozdeczkę. Powiedział, że ja chyba nie wiem, co mi grozi za to. To jest sprawa sądowa. Ale panie, brygadir i sam uprawiajuszczyj jakoś ujęli się za mną. Stwierdzili, że głupia dziewczyna, palnęła coś bez zastanowienia, to wszystko czymś poparli, prawdopodobnie papierosami czy tytoniem, bo tam tego nie było. Jakoś go ugłaskano. Ale mnie za to groziło osiem lat więzienia.

Brat, jak już wspomniałam, napisał, że bym odebrała w Pawłodarze jego rzeczy. Napisał dokładnie, co mu zabrano. Najbardziej nam chodziło o to srebro. Razem zażydówką, Haną Kuper, która miała aresztowanego brata, dotarłyśmy, m.in. parostatkiem, do Pawłodaru. Trafiliśmy na moment, kiedy Anders zadzynał wyprowadzać polskie wojsko z Rosji a stosunki polsko-radzieckie wchodziły w krytyczny moment. Przyszłam w Pawłodarze do polskiego konsulatu i poprosiłam naszego attache, aby on ze mną poszedł do NKWD, bo oni mogą mnie tam nie wpuścić. Przedstawiłam mu sprawę. A on na to: "proszę pani - był to też młody człowiek - oczywiście pójdę z panią. Z góry jednak pani mówię, że sprawa jest przegrana. Oni się wszystkiego wyprą i nic pani nie dostanie."

Poszliśmy. Wszystko było dokładnie tak, jak on powiedział. Nic nie dostałam. Powiedzieli, że takiego tu nie było. Mówię im, że był na pewno bo miałam od niego list, dostarczony przez Rosjanina. Oni na to: podaj familię tego Rosjanina. Odpowiedziałam, że nie znam, nawet go o to nie pytałam. Nie, takiego tu nie było i koniec.

Wróciłam z NKWD z tym panem do naszego konsulatu, który mieścił się w drewnianym budynku. Tu powiedziano, że poszukuje

mnie jakiś wojskowy. Serce mi zabiło, bo pomyślałam, że to mój brat, który, jak się później okazało, zginął w Katyniu. Wówczas nie wiedzieliśmy o tragedii katyńskiej. Było to w roku 1942-gim. Powiedziano mi, że bym tu na niego czekała, bo tak mu powiedziano. Moim całym jedzeniem był niewielki kubeczek zalewajki. Była to woda z mąką. Nie miałam bowiem ze sobą żadnych rubli i nic nie mogłam kupić.

Wkrótce nadszedł wojskowy. To nie był brat lecz mojego brata kolega. On przyjechał po swoją matkę i miał zabrać nas razem. Brat dał mi na ten cel 300 rubli. On powiedział, że już teraz nie wolno nikogo zabierać. Nie pojedzie nawet po swoją matkę i naszej rodziny też zabrać nie może. Jeśli pani w tej chwili zdecyduje jechać ze mną "na lewo", to ja panią zabieram ze sobą.

Zdecydowałam się zostać. Nie mogłam zostawić ojca i rodziny i to w sytuacji, gdy wszyscy chorowali na malarię. Gdyby się coś ojcu stało, miałabym wyrzuty sumienia. Wzięłam od niego te 300 rubli i przesłałam pozdrowienia bratu i z ciężkim sercem wróciliśmy do sowchozu. Podróżowałyśmy jakąś ciężarówką, na którą dostałyśmy się dzięki poparciu wojskowego.

Wkrótce zaczęto zabierać nam wizy i wręczać rosyjskie paszporty. Myśmy nie orientowali się zupełnie w biegu wydarzeń. Nasza ferma był to świat zabity deskami. Bez przepustki nie wolno było oddalić się na ponad siedem kilometrów.

Rano przyszła do mnie uborszczyca /woźna/ z wiadomością, że wzywają mnie w sielsowiet. Muszę tu nadmienić, że będąc mężem zaufania, uczyłam jednocześnie nasze dzieci. Najpierw uczyłam tajnie, na prośbę matek. Pracowałam za kanapkę, bo przecież one nie miały czym płacić. Były tam książki a mnie nauczanie jakoś bardzo imponowało. Uczyłam wieczorami. Jeszcze za

uznawania przez Rosjan rządu Sikorskiego otwarto dla Polaków garkuchnię. Otrzymywaliśmy też zapomogi. Kuchnię prowadziła pani Majewska a jako mąż zaufania dbałam o wszystko. Ponadto uczyłam dzieci.

Wezwano mnie i panią Majewską. Nie wiedziałyśmy kompletnie, o co chodzi. Najpierw wzięto mnie, pierwszą. Pytali o wszystkie dane: urodzenie, pochodzenie, wykształcenie. Na te wszystkie te pytania odpowiadałam. Sekretarka to wszystko podpisała i kazano mi to wszystko podpisać. Przeczytałam to wszystko, bo już wtedy pracowałam jako "uczotczyk", bo już nauczyłam się rosyjskiego. Wszystko się zgadzało. Było tam jednak wolne miejsce. Powiedziałam więc, że u nas w szkole tak uczono, że jeśli zostaje wolne miejsce, to to miejsce zakreśla się literą "Z", przekreślonym. Sekretarka na to odpowiedziała: "ot niedowierczywa Palaczka." NKWD-yście na to: "prawilno, my eto sdielajem." I tak zrobił. I wówczas ja to podpisałam. Dopiero wówczas on mi powiedział: "a tie pier wy budietie russkaja graždanka." Odpowiedziałam mu, że tego to on się nie doczeka. Rosyjską obywatelką to ja nigdy nie byłam i nie będę. I wyszłam trzaskając drzwiami.

Uprzedziłam natychmiast czekającą panią Majewską, aby nie powtórzyła mojego głupstwa i niczego nie podpisywała. Ale ona powiedziała, że podpisać musi, bo ma troje dzieci, których nie zostawi samych i do więzienia nie pójdzie. I podpisała. W

Kiedy wróciłyśmy do naszego baraku, zastałyśmy tu pełną izbę Polaków z innych sowchozów. Ludzie już się dowiedzieli o sprawie sowieckiego obywatelstwa. Myśmy zresztą z panią Majewską były w centrali około czterech godzin. Wszyscy gorączkowo naradzali się, co robić.

Wzięłam przepustkę i poszłam na pierwszą fermę, gdzie prze-

bywała moja znajoma, pani kapitanowa, Maria Bordziakowa, która miała dwie córki: Janinę i Lidię. Powiedziałam jej, co mi się przydarzyło. Byłam bardzo zdenerwowana powie-
działam ojcu, że jeśli oni dadzą mi rosyjski paszport, to ja chyba sobie odbiorę życie.

Pani Bordziakowa pocieszyła mnie i postanowiła, że pójdziemy do Irtyszywska. I poszliśmy do tego miasta, odleg-
łego o dwadzieścia kilometrów.

Dopiero w Irtyszysku dowiedzieliśmy się całej prawdy: Polacy nie chcą podpisywać żadnych dokumentów.

W zasadzie to nie był jeszcze paszport. Ja podpisałam tylko moje dane. Nigdzie nie było napisane, że wyrażam zgo-
dę na przyjęcie ich obywatelstwa.

Weszliśmy do Irtyszeskiego NKWD i trafiłyśmy na taką scenę: pełno Polaków. Za barierką była Polka, nauczycielka z Wilna, pani Rudomina. Przed barierką stała jej córeczka, która wówczas miała jakieś cztery lata. Jak dziś pamiętam, blondynka, niebieskie oczka. Obok pani Rudominowej, po obu jej stronach stali sowieccy milicjanci. Nie pamiętam całego śledztwa. Pamiętam tylko, jak do niej się zwrócił ten sędzia czy też może milicjant: Suka nie zostawia swoich szceniąt. A ty, jaka z ciebie matka. Bo ta jej Haneżka stoi przed barierką. A ona mu na to: "grażdństwo, eto nie pierczatka, katoraja esli graznaja, to ja jeju wybaszu." /Obywatelstwo to nie rękawiczka, która jeśli będzie splamiona, to ja ją wyrzucę./

Wówczas NKWD-ysta zachował się wyjątkowo brzydko: "brat' etu sabaku" /może swołocz/. Ją zabrano. A przeraźliwy krzyk tej dziewczynki słyszę do dziś w uszach.

Wówczas powiedziałam do pani Bordziakowej, że chyba sobie życie odbiorę. Skoro taka pani Rudominowa nie podpisała,

a ja głupia zrobiłam to. Pani Borodziakowa tłumaczyła mi, że przecież zrobiłam to nieświadomie. Wina leży po stronie naszych władz, które o niczym nas nie poinformowały. Nie powinienam sobie robić żadnych wyrzutów, bo i ona, jeśli przyjdzie co do czego, też podpisze swoje dane. Moje córki też podpiszą, bo ona nie chce iść więcej do więzienia.

Rezultat był taki, że opornych aresztowano. Siedzieli przez dwa lata chyba. Kiedy wrócili, musieli jeszcze pięknie poprosić o dowód rosyjski, bo ten dowód był warunkiem otrzymania pracy. Byli więc pozbawieni podstawowych środków do życia.

Później powstał Związek Polskich Patriotów. Myśmy narzekali na Wandę Wasilewską, ale kiedyś jeden ze znajomych powiedział w ten sposób: gdyby nie ona, prawdopodobnie byśmy wszyscy tam zginęli.

Trzeba bowiem było pamiętać o tym, że Anders wyprowadził już swoich żołnierzy, a nas tam tyle jeszcze zostało. Zostały i matki z dziećmi, także ludzie starzy, bez środków do życia.

Rok 1943-ci, kiedy Niemcy podchodzili pod Stalingrad, był straszny, ⁶⁰ nie było żadnych pajków. Nie dostawaliśmy nic. Ludzie pracowali głodni. A pracować musieli. Jeśli nie szedłeś do pracy, to znaczyło, że jesteś sabotażystą.

U nas w domu nie mieliśmy już nic do wymiany. Ostatnią rzeczą, którą mieliśmy do sprzedaży, był garnitur najstarszego brata. Sprzedaliśmy go za dwa pudy pszenicy i trzy pudy prosa /pud = 16kg/. Sprzedaliśmy go aż na piątą fermę, która znajdowała się 35 km od nas. Kirgiz, któremu to sprzedaliśmy, nie mógł przywieźć zboża, bo akurat wypad "burian" - burza śnieżna, w czasie której nie widać człowieka na odległość wyciągniętej ręki. Nie mieliśmy nic do jedzenia. Mieszkający

z nami Polacy też gnali ostatkami. Umarła Niemka z synem, oczywiście z głodu, następnie dwoje młodych Niemców, też z głodu. Ja powiedziałam do ojca, że nie dopuszczę do tego, aby wyglądać jak Sukowa, Niemka, która zmarła z głodu razem z synem.

Miałam ze sobą obrazek Matki Boskiej Częstochowskiej. Ten, o który pytał Sowiet a ja mu odpowiedziałam, że to nie jego sprawa. Wisiał on nad naszą pryczą. Uklękałam i zaczęłam modlić się bardzo gorąco. Myślałam, że tym razem to już nadszedł nasz koniec. Już trzeci dzień nic nie mieliśmy. Ojciec pracował jako stróż przy bydle. Nocą, gdy nic nie było widać, po ocieleniu krowy ukradkiem przynosił nam siarę w jakiejś brudnej misce. Rosjanie nazywali to "małozivo". Nic więcej nie było. I nie ma żadnych szans, że cokolwiek będzie, bo rozumieliśmy, że Kirgiz w "burian" nie przyjedzie.

Modliłam się przed obrazem, z różańcem w ręku. Klęcząc zobaczyłam przez okienko "piny" tzn. wojłowki jakiegoś człowieka. Za chwilę ktoś zastukał w drzwi i wołanie: "otkroj." Klamek tam przecież nie było, drzwi zamykano na haczyk. Otworzyłam, a on wrzucił do środka zboże.

Padłam znowu na kolana, tym razem dziękowałam za uratowanie nas od głodu. Szybko pożycziliśmy żarna od Rosjan. Na żarnach zmełło się to proso, upiekło się jakieś placki czy ugotowało jakąś zupę.

Ilekcóż później w życiu ktoś próbował mi tłumaczyć, że nie ma Boga odpowiadałam, że miałam namacalny dowód cudu. Teraz nikt nie przekona mnie, że nie ma Boga lub że nie ma Matki Boskiej.

Nadeszły jeszcze trudniejsze czasy. Nie było co jeść ani co wymieniać. Nie było się w co ubrać. Wszyscy chorowaliśmy na malarię. Ja, przez sześć lat mojego tam pobytu, przez cały

czas chorowałam. Przejść było dużo: wszy, brud i głód, wszystko, co mogło być najgorszego.

Gdy powstał Związek Patriotów Polskich, ponownie poszłam do Irtyszewska. Tam był Żyd Lipke. Pochodził z Sokółki. On był tam naszym przewodniczącym. Ja tam zaszłam jakoś przed trzecim maja. Akurat trafiłam do klubu polskiego. Tam akurat przygotowywano akademię na święto trzeciego maja. Obecnie tam dziewczęta nie umiały tańczyć krakowiaka czy czegoś takiego. Ja je nauczyłam kilka figur krakowiaka, nauczyłam kilka piosenek polskich, harcerskich. On widząc to powiedział, że jeżeli chcę, to on mnie tu przeniesie, do Irtyszewska. Bo im brakowało też i nauczycielki. Pani Rudominowa, która już wyszła z więzienia będzie uczyć starsze klasy a ja młodsze. Ponadto prowadziłabym to kółko artystyczne. Zgodziłam się na to bardzo chętnie.

Wróciłam do sowchozu i poszłam do uprawiającego, oznajmiając, że dłużej tu uczotczykiem nie będę, bo wyjeżdżam. On wyraźnie chciał mnie zatrzymać. Zapewniał, że mnie teraz ubezpieczy na zimę. Bo myśmy i może wyjechali ^{byliśmy} z tymi rodzinami, które wyjeżdżały na południe. Ale człowiek bywa czasem naprawdę głupi.

Otóż wybudowaliśmy piec. Bo w naszej izbuszce nawet i tego na początku nie było. Nam woda tam zamarzała. Tam kiedyś składowano siano. Myśmy tam mieszkali jak bydło. Kiedy śnieg nas zawiązał, to ludzie musieli nas odkopywać, bo nie mogliśmy wyjść. Kiedy postawiliśmy piec, było nam bardzo dobrze. No i teraz żal nam było, durniom, zostawić tego pieca. I przez ten piec zostaliśmy. A potem już wyjechać nie było można.

Wyjechałam więc do Irtyszewska, zabierając ze sobą ojca, który tam był stróżem. Pracował w polskiej szkole, utworzonej przy Kazachskiej średniej szkole. Moja bratowa paliła tam

w piecach Jako uborszczyca /woźna/. Natomiast ojciec początkowo znalazł zajęcie jako stróż. Później wysłano go na przygotowywanie drewna. Wyjechał na całe lato do innej miejscowości na inastruktarz. W tej chwili już nie przypominam sobie, jak to się fachowo nazywało. Chodziło o zapewnienie opału do pieców na zimę. Tam, w tej klitce mieszkał cały "internacjonal": trójka Niemców; małżeństwo z córką, trójka nas Polaków, ponieważ mój młodszy brat został na fermie jako rybak. Nie chciał czy może nie mógł do nas dołączyć. Zresztą u nas nie było wystarczająco dużo miejsca. Ojciec już pracował jako nocny stróż. Mieszkała też z nami Czeczenka, bo i Czeczenów także przesiedlono. Mieszkał też z nami młody chłopak, też Czeczeniec. Tłok w tej izdebce był niesamowity. Wprawdzie codziennie szorowaliśmy podłogę /wreszcie była podłoga/ ale mimo tego cały czas był brud i wszy. Nie muszę chyba dodawać tak oczywistego faktu, że przez cały czas był głód.

Pracowałam wówczas w Związku Patriotów Polskich. Wówczas to wynikła sprawa opcji. Wzięto nas osiem osób: tych, którzy znali język rosyjski i tych, którzy znali język polski. Jeździliśmy po sowchozach, w których znajdowali się Polacy.

W uzupełnieniu chcę dodać, że wkrótce po naszym przyjeździe, bo jeszcze w lipcu 1940-go roku, zmarła jedna z naszych współtowarzyszek syberyjskiej niedoli, młoda kobieta. Miała ok. 32 lat. Miała dwoje dzieci i była w ciąży. Poszła do "bolnicy" rodzić. Tam dostała zakażenia i zmarła. Nazywała się Jadwiga Kochalska. Zmarła dokładnie 26-go lipca. Jej mąż był w straży granicznej. Swoją niedolę tułaczą rozpoczął od internowania na Łotwie czy też może na Litwie. Stąd trafił do Rosji a następnie z armią Andersa dostał się na Zachód. Po jakimś czasie wyjechał do Kanady. Już po wojnie, gdy zaistniały odpowiednie możliwości zabrał do siebie młodszą córkę. Kiedy odwiedzałam

panią Kochalską w szpitalu, jej córeczki miały po jakieś 6 i 3 latka.

Polki gotowały jej kompot z suszonych jabłek. Pocięszaliśmy ją twierdząc, że sprawy mają się dobrze. Myślę, że nam pomogła przetrwać nieugięta nadzieja, wręcz pewność, że do kraju wrócimy. Myśmy przez cały czas "wracały" do Polski: jak nie najbliższego 1-go do 20-go a 28-go to już z całą pewnością. To nas trzymało przy życiu. Gdy na rzece pojawił się statek mówiliśmy, że to on w drodze powrotnej na pewno zabierze nas do Polski.

W tym samym czasie leżała, razem z matką, młodsza córeczka pani Kochalskiej. Była w sąsiednim pomieszczeniu i ciągle, jak to dziecko, płakała do mamy, aby ta do niej przyszła i ją zabrała. A matka w tym czasie umierała.

Polacy, w tym i mój brat, jakimś cudem zdobyli nieheblowane deski i zbili z nich skrzynkę. Pani Kochalska była wywieziona z siostrą męża i dwojgiem dzieci. One do dziś mieszkają w Grajewie: Henio i Maria Kurzac/. Były to bardzo zdolne dzieci. Pani Kurzacowa dała swojej zmarłej bratowej sukienkę /pamiętam do dziś: była szafirowa i błyszcząca/. I pamiętem niezliczone mrowie wszy. I pomyśleć, że to było w szpitalu.

Wołami zawieźliśmy ciało w skrzynce pod drugą fermę. Było to ok. 4-ech kilometrów. W czasie tej drogi wszyscy nagle sobie uświadomiliśmy, że i my tu też możemy tak zostać.

Bracia wykopali doł, wspólnie odśpiewaliśmy "Anioł Pański". Z koleżanką zrobiliśmy z piołunów /nie było krzewów/ symboliczny krzyżyk na mogiłę. Wszystkim nam było bardzo smutno na duszy. Władze kolchozowe na dzień pogrzebu przyznały nam wolne.

W czasie pogrzebu zwróciliśmy się twarzami w tym kierunku,

w którym, naszym zdaniem była Polska.

Bratowa zmarłej znajdowała się aż na piątej fermie, od-
dalonej od nas o 35 km. Nasze panie wiedząc, że teraz ona tam
będzie sama, zdołały ją ściągnąć do centrali. Obecność tej pa-
ni właśnie tu była nieodzowna, jako że oprócz ^Wdojki swoich
dzieci, wzięła pod opiekę dwoje osieroconych. Miała tu trochę
rzeczy po bratowej, które wymieniała na żywność. Zamieszkała
koło nas.

Starsza córka pani Kochalskiej w jakieś dwa miesiące póź-
niej zaziębła się i zmarła na gruźlicę. I jej też zrobiono
małą skrzyneczkę i, jak się nam wydawało, pochowaliśmy ją obok
matki.

Pochówki odbywały się w stepie, bo tam nie było cmentarza
w sensie wyodrębnionego, ogrodzonego miejsca. Chociaż na dru-
giej fermie cmentarz był. U nas było wskazane pewne miejsce,
gdzie chowano zmarłych. Nie było ono nawet ogrodzone. Kirgizi
niekiedy wykonywali niekiedy ogrodzenie z "samanu." Jestem
pewna, że tam teraz nie ma nawet śladu po tych mogiłach. Silne
wiatry szybko zmieniają krajobraz.

Pani Kurzecowej te dzieci dużo pomagały. Szczególnie ten
chłopczyk. Dziewczynka miała wówczas jakieś 7-8 lat. Chłopak
był wyjątkowo sprawny i zdolny. Robił igły z drutu, agrafki,
druty do robienia na drutach. Swojej siostrze zrobił kołowro-
tek. Te właśnie rzeczy matka wymieniała z Rosjanami na żyw-
ność: ziemniaki i mąkę.

Gdy zaczęła nadchodzić pomoc amerykańska w postaci kocy
i ubrań starałyśmy się, aby ta pani otrzymała tego więcej.

Najtrudniej nam było przetrwać lata 1943-tj i 1944-tj.
Później, gdy powstał Związek Patriotów Polskich, znowu nam było
nieco lżej.

w tych ciężkich czasach chodziliśmy wiosną na "kłoski".

Tam setki jeśli nie tysiące chodziły na owe "kłoski".Warto temu bliżej się przyjrzeć,bo to dobitnie świadczy o wydolności gospodarki socjalistycznej.

Akcja rozpoczynała się tuż po ustąpieniu śniegów.Ja sama, w przeciągu tygodnia,nazbierałam półtora puda /pud=16kg/ jęczmienia i pud pszenicy.A przecież po każdy kłosek trzeba było się schylić.Następnie zebrane kłoski trzeba było przynieść do domu,wysuszyć na "pieczkie",przetrzeć w rękach,przedmuchać. Na pożyczonych od Rosjan żarnach mełło się to na mąkę,z której dopiero piekło się placki.

Miejscowe władze ściagały ludzi zbierających kłoski.Za normalne przyjmowano to,że niech kłosy zgniją lub zostaną przyorane,ale ludziom nie wolno ich zbierać.Ponieważ w tym czasie otrzymywaliśmy paczki w których była herbata,było nam stosunkowo łatwiej.Kirgizi za szczyptę herbaty byli gotowi ofiarować wiele.Idąc przeto w pole braliśmy ze sobą po łyżeczce herbaty.Gdy Kirgiz przyjeżdżał nas wypędzać,dawaliśmy mu jego "dołę" i dalej zbieraliśmy spokojnie.

Mimo tych trudności tłumy ludzi chodziły na "kłoski",bo to była jedyna szansa na przeżycie.

W lecie gotowaliśmy dziki czosnek i jeszcze jakieś ziele, którego nazwy już teraz sobie nie przypominam.Dzieci łowiły ryby,których tam było wyjątkowo dużo.Chłopcy łapali je rękami w Karatunie.Złowione,małe szczupaczki,soliliśmy i suszyliśmy.Sól kradliśmy z bazy,w której ją przetrzymywano w postaci sporych rozmiarów kamieni.Tak przygotowane,wysuszone ryby przechowywano na zimę.

Ponadto Kirgizki robiły tzw."kierczyki".Pierwsze wrażenie, gdy obserwowałam,jak się je robi,było okropne.Otóż w każdej Kirgizkiej rodzinie był kocioł taki,jakie były u nas na obozach harcerskich - z żeliwa.Stał na podwórku,niczym nie przy-

kryty. Do niego zlewano mleko, które zostawało. Najpierw było to mleko zwane "abrat"; tj. takie mleko, które było już odtłuszczone. Było ono zakwaszane i w smaku przypominało nieco nasz kefir. Zanim jednak zostało ono przywiezione z pastwisk odległych o jakieś 20-cia km a dni były upalne, fermentowało przekształcając się w ajran. Kirgizi wypijali tego po dziesięć litrów. I to ludzi trzymało przy życiu, dawało siły. Bo praca przy siankosach była ciężka.

Otóż resztki ajranu zlewano do kotła. Gdy już było pełno, pod kotłem podpalano /kocił stał na specjalnie ustawionych ceglach/ i gotowano do czasu, aż wszystka woda odparowała. Zostawało samo gęste. Do tego dodawano mąkę /oczywiście ciemną, bo innej nie było/ lub otręby. Po wymieszaniu rękoma formowano kluski. Następnie kładziono je na deski /dyktę/ i suszono. Przez cały czas muchy to pstrzyły ale nikt nie zwracał na to uwagi. Kirgizi mieli tego całe worki. Często wiali tym gości pijąc przy tym czaj.

Kirgizi, trzeba to przyznać, był to naród gościnny. Gdy się wchodziło do ich domu, koniecznie trzeba było się poczęstować. Odmowa czy wymawianie się były widziane bardzo źle. Początkowo nie mogłam przełknąć kierzcyków. Kiedy jednak głód przycisnął, jadłam. Czekalam nawet, kiedy poczęstują. Nawet próbowaliśmy sami je robić.

Gdy skończyła się wojna, już w 1945-tym roku, zaświtała nadzieja powrotu do Polski. Jednak warunkiem tego były tzw. "wyzywy" czyli jakby zapotrzebowanie na powrót. Naszej rodzinie takie wyzywy przysłał wyujek. Domagano się także udowodnienia swojej polskości. Ale gdy nas wywożono, nie żądano czegoś takiego. Teraz bez tego nie puszczali. Obecnie ci, którzy podczas pobytu w Rosji wyparli się polskości podając się za Ukraińców

czy Białorusinów - tych nie puszczano. W ten sposób została tam nasza koleżanka. Jej matka oficjalnie stwierdziła, że nie jest Polką lecz Ukrainką. W tym celu, na życzenie szefa NKWD, przewodniczący miejscowej komórki Związku Patriotów Polskich zebrał nas, jakieś osiem osób, tych którzy znali języki polski i rosyjski. Jeździliśmy po okolicznych sowchozach i fermach po to, aby udokumentować polskość osób tam deportowanych i zamieszkałych. Robiliśmy przy tym najróżniejsze szwindle po to, aby ratować Polaków. Tam prawie nikt nie miał dokumentów. Wystarczyło więc, aby ktoś miał polską receptę, na której był stempel z orłem, to wpisywaliśmy receptę z nazwiskiem uważając, że ta osoba obywatelstwo polskie udowodniła. Następnie starano się ten fakt rozciągnąć na pozostałe osoby tam zamieszkujące nie mówiąc o członkach rodziny. W ten sposób całe rodziny nabywały prawo wyjazdu.

Jeżdżący z nami naczelnik NKWD o polskim nazwisku Domaradzki doskonale widział te nasze machlojki ale jakoś patrzył na to przez palce. Z nami jeździła też sekretarka miejscowego NKWD.

Na fermach przyjmowano nas wyjątkowo serdecznie. I nic dziwnego. Ludzie ci byli głodni, nie mieli nic a jednak dzielili się z nami ostatnim. Poruszaliśmy się saniami zaprzężonymi w woły. Staraliśmy się dotrzeć do każdej, choćby najmniejszej fermy jeśli podejrzewaliśmy, że tam mieszkają lub że mogą tam mieszkać Polacy. Wypytywaliśmy, gdzie jeszcze są lub mogą być polskie rodziny.

Pewnego razu zatrzymaliśmy się w pewnym kołchozie, w którym nas suto nakarmiono. Jednocześnie uprzedzono; najedzcie się dobrze, bo w kołchozie, do którego jedzicie, panuje wyjątkowy głód. Tam nic wam nie dadzą jeść. Wreszcie dotarliśmy tam. Prze-

wodniczącą kołchozu była kobieta. Z nią mieszkaly dwie Polki. I właśnie tam, po raz pierwszy od sześciu lat, zjedliśmy normalny obiad przy normalnym stole, zasłanym czymś białym. Do dziś pamiętam, co było na obiad: makaron, wprowadzie z ciemnej mąki ale makaron, z rosółem z kury. Na drugie danie mieliśmy też kurę. Był nawet kompot z szypiszki / wyglądem przypominała owoc naszej dzikiej róży/. Były nawet ciasteczka z ciemnej mąki. Przyjęto nas bardzo serdecznie. Byliśmy tym naprawdę serdecznie wzruszeni.

Po naszym objeździe rozpoczęła się zwózka Polaków. Z naszego rejonu miejscem zbornym był Irtyszysk. Tam załadowano nas na barkę /barżę/ i dowieziono nas do Pawłodaru. Tu załadowano nas do pociągu, który przywiózł nas do Polski. Jechaliśmy w wagonach towarowych. Jechało się różnie. Bywało i tak, że nagle transport zatrzymywał się nagle, bo np. "ugla niet". /brak węgla/. Wówczas nasz przewodniczący Związku Patriotów Polskich chodził od wagonu do wagonu, zbierał datki, aby maszynista zechciał pojechać dalej.

Wracaliśmy przez Moskwę. Pamiętam, że biegałam po mieście boso. Miałam wprowadzie łapcie, tzw. "czeczenki", ale to były moje ostatnie buty, które miały mi starczyć do końca podróży. Nazwa "czeczenki" pochodziła stąd, że w miejscu naszego zesłania, po wybuchu wojny z Niemcami znaleźli się wywiezieni "Czeczenci" i Czerkiesi. Były to narody jeszcze nie do końca kolektywizowane i władze radzieckie obawiały się, że one pójdą na rękę Niemcom. Otóż Czeczenki zarabiały na życie w ten sposób, że wyrabiały "tapoczki". Były to łapcie z brezentu. I ja też takie miałam.

Z Moskwy zapamiętałam też mauzoleum Lenina i olbrzymią cerkiew z kopułami, na których nie było krzyży.

Przez Terespol dotarliśmy do Białegostoku. Stąd dotarliśmy do Osowca. Dalsza jazda pociągiem nie była możliwa, ponieważ linia kolejowa została zerwana w czasie działań wojennych. Do Grajewa dojechaliśmy autobusami. Było to dokładnie 16-go czerwca 1946-go roku.

Kiedy nastąpiło zerwanie stosunków dyplomatycznych między polskim rządem na emigracji a rządem radzieckim, wezwano nas w celu wręczenia nam sowieckich paszportów. Starszych braci nie było a młodszy brat pracował na sąsiedniej farmie. W domu był schorowany ojciec, bratowa i ja. Przed zimą należało koniecznie opatrzyć naszą ziemiankę. A nas akurat wezwano do roboty. Dotychczas ja, ucząc potajemnie polskie dzieci nie pracowałam u Rosjan. Teraz, po zerwaniu umowy, wezwano mnie do pracy. Odpowiedziałam, że przyjdę do pracy dopiero wówczas, gdy uszczelnię ziemiankę na zimę i uzupełnię zapas "kiziaków" do pieca.

Wieczorem do naszej ziemianki przyszedł ojciec "uprawiajuszczewo". Lubiałam słuchać jego opowiadań o czasach rewolucji. Gdy rozpoczęła się wojna, on mi powiedział w zaufaniu: Amerykanie trochę pomagają Niemcom a trochę nam. W rzeczywistości czekają, aż się jeden i drugi wykrwawią by w końcu położyć rękę i na jednych i na drugich. "I daj Boh, czto by eto było skorej." / I daj Boże aby to było jak najszybciej /. Opowiadał mi, jak w czasie kolektywizacji ludzie umierali z głodu, jak ludzie jedli ciała drugich. Miał do mnie wyraźne zaufanie. Otóż tego wieczora powiedział mi w najgłębszej tajemnicy: "podejrzałem listę u mojego Wołodźki, na której ty jesteś przewidziana do wywózki do Karagandy". Było to, i jest nadal, znane zagłębie węglowe, z którego bym już prawdopodobnie nie wróciła. "Tu jest niesamowity bałagan - mówił. Jeśli masz w pobliżu kogoś znajomego, to natychmiast stąd uciekaj. Wystarczy, że posiedzisz gdzieś

na fermie przez tydzień. Gdy transport odejdzie i będziesz mogła wrócić. Jutro przyjdzie do ciebie uborszczyca /woźna/ z sielsowietu /wiejskiej rady narodowej/. Pamiętaj, abyś nie podpisała "powiestki" /zawiadomienia/. Nic ci za to nie zrobią. Tylko nie podpisuj. I żebyś, broń Boże, nie wygadała się, że cię uprzedziłem. I poszedł.

Nazajutrz, rano, gdy smarowałam swoją chałupę gliną zmieszaną z końskim nawozem, nadeszła woźna. Przyniosła mi "powiestkę" i zażądała podpisu. Odmówiłam twierdząc, że przyjdę do nich gdy tylko skończę tę ścianę. I tak zrobiłam.

W sielsowiecie zastałam znaną komunistkę, babę. Siedziałam chyba z godzinę, a ona, zajęta swoimi sprawami, wyraźnie mnie ignorowała. Wreszcie powiedziałam jej, że wezwano mnie przez woźną, więc przyszłam na to wezwanie. A ona mi na to: "tak, sobirajsia. Zawtra ujediesz w Karagandu". A ja na to: "ja nikagda nie ujedu." Ona: "ujediesz, ujediesz." Ja: "jeśli z całą rodziną - tak; pojedziemy chętnie, bo nam tu jest bardzo ciężko, gdyż nie mamy co jeść." Ona: "nie, nie, sama ujediesz." Ja: "sama ja nikagda nie ujedu."

W trakcie tej sprzeczki ona powiedziała: "ot, kakaja gardaja Palaczka." A ja na to: "Nie palaczka, bo palaczka w pieczkie toplit / w piecu pali / a ja jestem Polka."

W tym czasie mój tatuś dowiedział się o tym, że jestem w sielsowiecie i że grozi mi wywózka do Karagandy. Akurat był na "chlebouborce" - żnwach - gdzie jako izwozczik dowoził chleb i ajran na bazę, ostrzył kosy itd. Na wiadomość o tym pobiegł do dyrektora z prośbą, żeby mnie z tego zwolnić. Ja zaś, wychodząc z sielsowietu spotkałam panią Borodziakową, żonę kapitana. Ona mieszkała na sąsiedniej fermie /7 km/. Z jej córkami przyjaźniłam się. Ona powiedziała: "przyjechałam tutaj po chleb. Siadaj ze mną." Pojechałam bezpośrednio do niej. Do domu już

nie poszłam. Tam, na fermie, przez całe dni siedziałam w piolunie. Ona tam mi przynosiła jedzenie. Chodziło bowiem o to, aby nikt się nie dowiedział o tym, że ja tu jestem. Tam siedziałam przez tydzień. Na noc przychodziłam spać do jej chałupiny. Po tygodniu wróciłam. Tak jak zapowiedziałam, odnalowałam swoją chałupę do końca i zgłosiłam się do pracy. Na wszelkie pytania odpowiadałam: czy nie rozumiecie, że ja musiałam to zrobić? Przecież w mojej rodzinie nikt inny tego zrobić nie może. Tak się skończyła moja kolejna syberyjska przygoda, która mogła zakończyć się gorzej.

A przygód tych w ciągu sześciu lat pobytu na Syberii było naprawdę wiele.

Wróciłam w połowie 1946-go roku. Coś trzeba było robić. Bardzo chciałam się uczyć, ale warunków do tego nie było. Nie było za co i w co się ubrać. Moje koleżanki dały mi kilka kiecek, jakieś buty. Zatrzymałam się w Grajewie u pani Józefy Łojewskiej, u której mieszkałam na stacji jeszcze przed wojną. Ta pani miała dwie córki. Liczyłam na to, że jakoś uda mi się zrobić małą maturę. Chciałam przede wszystkim zacząć się do jakiejś pracy. Wkrótce okazało się, że z otrzymaniem pracy nie jest tak łatwo.

Zupełnie przypadkiem spotkałam znajomego, którego nazwiska teraz nie przypominam sobie. Był on dobrym znajomym tego z moich braci, który zginął w Katyniu. On mi to podpowiedział, że Mikołajczykowskie PSL potrzebuje sekretarki. Jeśli chcę, to tam mogę pójść do pracy za tysiąc złotych miesięcznie. Dla mnie to było dużo, bo nie miałam nic. Siedziba PSL mieściła się w Grajewie przy ulicy Kolejowej.

Zgłosiłam się tam i zastałam nielichy bałagan oraz trochę legitymacji członkowskich. Powoli zaczęłam to porządkować. Zaczęłam

od tego, ~~z~~kupiłam żółty brulion i założyłam ewidencję członkowską. W tym czasie przewodniczącym miejscowej organizacji PSL-u był pan Klemens Karwowski z Turczyna. On mi powiedział: "moje dziecko, ty natychmiast zniszcz ten brulion, bo ty tylko zaszkodziś członkom PSL-u." Będąc od niedawna w Polsce jeszcze nie wiedziałam, jak te sprawy tu wyglądają. Oczywiście zastosowałam się do polecenia p. Karwowskiego i brulion wyniosłam z biura.

Gdy przyszedłam do pracy nazajutrz, stwierdziłam brak szyldu nad wejściem do biura. Zauważyłam ponadto, że ktoś "gospodarował" w biurze. Gdy po pracy wróciłam do domu, przyszedł do mnie milicjant z wiadomością, że jestem wezwana na powiatową komendę milicji. Komenda milicji w Grajewie mieściła się wówczas przy ulicy powiatowej prowadzącej w kierunku starostwa. Zresztą i przed wojną w tym samym miejscu mieścił się posterunek policji.

Gdy tam dotarłam, zastałam siedzących: powiatowego komendanta milicji; obok, na otomance /wersalce/ siedział - wówczas tego nie wiedziałam - komendant miejscowego UB oraz sekretarz ~~X~~ partii, wówczas jeszcze PPR. Ich nazwisk już dziś nie pamiętam. Najpierw wypyтали mnie o dane osobowe a następnie stwierdzili, że skoro pracuję w PSL-u, chcieliby w drodze konfrontacji dowiedzieć się, czy znam pewnego pana, milicjanta. Wówczas milicja chodziła w zielonych mundurach. W pewnej chwili wprowadzono pana, pamiętam jego nazwisko: Czyżewski. Na imię miał chyba Czesław. Zauważyłam, że jest bez sznurowadeł, paska i patrzy na mnie oczami zbitego psa. Padło pytanie, czy go znam. Odpowiedziałam, że nie. Jestem tu zresztą od niedawna i widzę go po raz pierwszy. Czy jest on na liście PSL-u? Odpowiedziałam, że taka lista nie istnieje, takiej listy nie mam. Wówczas któryś z nich, chyba

komendant milicji odparł: "ma pani, ma pani. Taki żółty brulion." Ja na to: "owszem, miałam, ale kazano mi go zniszczyć co też uczyniłam. Nie był mi potrzebny, zniszczyłam i już go nie mam. Wpisywałam tam nazwiska członków PSL-u ale trudno oczekiwać, abym je wszystkie teraz pamiętałam"

Wyprowadzono tego człowieka i zaczęła się rozmowa ze mną. Gdzie byłam w czasie wojny i dlaczego poszłam do pracy właśnie tam. Odpowiedziałam, że pracować muszę. Chcę się jeszcze uczyć a do pracy mnie nigdzie nie przyjmowano. Wszędzie spotykam się z żądaniem kwalifikacji. A gdzie i kiedy miałam je zdobyć? Tam, na Syberii, przy bykach, gdzie nie było nawet na czym pisać? Swego czasu pisałam na nogach, gdy miałam opalone, gdy pracowałam na siankosach jako "uczotczyk". Później, już w bazie, pisałam na gazetach, gdy pracowałam przy bydle. Tam też byłam zatrudniona jako "uczotczyk". Przeto gdzie i kiedy miałam zdobyć te kwalifikacje? Proszę mi powiedzieć."

Wówczas komendant UB powiedział: "ja też tam byłem." Tu muszę dodać, że on odnosił się do mnie z wyraźną sympatią. Zresztą czułam się tam dosyć swobodnie bo jeszcze nie wiedziałam, czym naprawdę jest UB i co ono wyprawia z ludźmi. Uważałam, że skoro jestem w Polsce, to tym samym wolno mi mówić co chcę i jak chcę.

On, komendant UB powiedział mi na to, że on też był w Rosji ale wrócił inaczej, bo z karabinem w ręku w 1943-cim roku. Ja mu na to, że również chciałam, ale mnie nie przyjęto. Wówczas on na to: nie było nam tam lekko, to prawda, ale kule nad głową nie gwizdały. Ja na to: uważam, że śmierć głodowa jest gorsza. Na moich oczach ludzie umierali z głodu. Wolałabym śmierć od kuli niż z głodu. Wówczas on, zmieniając nagle temat, że jeśli chcę, to on mnie przyjmie do pracy. Tyle tylko, że jest to tak zastra-

szająca instytucja że on nie wie, czy ja na to się zgodzę. Odpowiedziałam mu na to że nie wiem, w jakim charakterze. On na to, że w charakterze buchalterki - tak się to wówczas nazywało. Odmówiłam motywując to tym, że matematyka była zawsze moją piętą Achillesową. Nie mogę podjąć się pracy na tak poważnym stanowisku. On mnie nadal starał się zachęcić: tam dostanę sześć tysięcy miesięcznie oraz umundurowanie. Będę też mogła korzystać ze stołówki, która wydaje bezpłatne czy po cenie ulgowej obiady /teraz już nie pamiętam dokładnie/. Podziękowałam mu za to.

Wówczas, zupełnie nieoczekiwanie, sekretarz partii powiedział, że powinnam zapisać się do partii. Tu już chwyciła mnie zwakła złość. Siedzą tu przedemną chłopcy, zdrowe, wypasione jak byki i jeszcze mi mówią, że powinnam pracować społecznie, bo jestem młoda, energiczna itd. Wówczas powiedziałam im: panowie, wy jesteście ubrani, nakarmieni, macie mieszkania zabezpieczone na zimę. Ja natomiast mam tylko to, co na mnie widzicie, a i to darowane przez panią, u której mieszkam oraz przez koleżanki. Nie mam nic. Czy w tej sytuacji mam czas i ochotę myśleć o pracy społecznej? Nie. Teraz muszę myśleć o sobie. Już dosyć myślałam kategoriami społecznikowskimi. Dość długo działałam społecznie na Syberii. "To pani nie chce zapisać się do Partii?". Nie. On: bo mógłbym dać pani pracę za trzy tysiące złotych miesięcznie. Ale skoro pani tak kategorycznie odżegnuje się od partii, trudno. Nie będę mógł. Ja na to: "trudno". On na to: wie pani co? Żal nam pani, osoby tak energicznej. Czy pani ojciec należy do partii? Tu już chwycił mnie pusty śmiech: "proszę pana, mój ojciec jest stary i głuchy. Przez 20 km musiał iść pieszo bo nie miał na bilet. Szedł z Rajgrodu do Grajewa po to, aby wysądzić własnego konia. Czy jemu teraz w głowie jest partia?" On: wprawdzie pani nadal kategorycznie odżegnuje się

od partii, to jednak proszę pójść do starostwa. My tam przedzwonimy i oni dadzą pani pracę. Odpowiedziałam: dobrze, być może skorzystam.

Wyszłam i natychmiast spotkałam swoją ciocię, śp. Marię Bagińską /zmarła w tym roku/. Wówczas była kierowniczką szkoły podstawowej w Rajgrodzie. Gdy jej opowiedziałam, co mnie spotkało przed chwilą, powiedziała: niech cię Pan Bóg broni, żebyś ty szła do starostwa i powoływała się na nich. Zresztą oni będą mieli dokładne sygnały na twój temat, kto cię przysyła. Przecież wszyscy będą się ciebie bali. Ty nie znasz naszej sytuacji. Ty nie wiesz, jak teraz tutaj jest. Zaraz pójdziemy do inspektora, on cię zatrudni w mojej szkole.

I tak zrobiłam. Inspektorem okazał się mój przedwojenny profesor gimnazjalny, pan Lucjan Gocłowski. Przy okazji opowiedziałam mu o mojej przygodzie z PSL-em, bo on był takich przekonaniań jak ja. Zresztą nie mógł być innych. Dał mi skierowanie. Pojechałam do Rajgrodu. Tam ciocia zatrudniła mnie w szkole. Pracowałam do roku 1961-go. W roku 1962-gim przeprowadziłam się do Białegostoku.

Niespodzianki były nadal. Był np. wśród nas kolega - nazwiska nie wymienię - już nie żyje. Donosił na nas. Prawdopodobnie musiał. Jednak nic takiego, co by nas dodatkowo obciążało. O mnie informował, że mówię o Związku Radzieckim, jak tam było, że dziennik mam pomalowany na zielono i inne takie drobiazgi, bez większego znaczenia.

Przyszedł jednak taki czas, kiedy wezwano kierowniczkę szkoły na badania. Wówczas on przyznał się do tego, że donosił, że był do tego zmuszony, miał rodzinę. Najwyraźniej liczył się z tym, że go aresztują i że ktoś inny będzie donosił. Sam się przyznał. Ładnie to zrobił. Nie aresztowano go jednak. Zostawiono. Wów-

czas powstała bardzo niezręczna sytuacja, że gdy on wchodził do pokoku nauczycielskiego, wszystkie rozmowy cichły. Mnie było jego szczerze żal.

A ja nadal pyskowałam. Mój mąż dawał mi sygnały nogą i to zazwyczaj w tym momencie, kiedy ten patrzył. On starał się wychodzić, unikać takich sytuacji. W końcu zrezygnował z nauczycielstwa i wyjechał z Rajgrodu.

Przykrości i szykany trwały nadal. UB nas ustawicznie wzywało. Nachodzono nasz dom. Sprawdzano nawet, na jakich falach i na jakich stacjach jest nastawione radio, czy nie słuchamy audycji zagranicznych.

W pewnym okresie, z braku etatów, groziło zwolnienie jednej z moich koleżanek. Zgodziłam się więc na pracę w świetlicy. Akurat w tym czasie było w modzie tworzenie tzw. świetlic wzorcowych. Celem tej polityki było ściągnięcie jak największej ilości młodzieży w celu odpowiedniego wychowywania i ukierunkowywania.

W szkole pracowała sekretarka, której nazwiska wymieniać nie będę. Wprawdzie ta pani już nie żyje, ale zostały jej dzieci. To właśnie ona donosiła na mnie do Grajewa, że nic nie robię albo robię wrogą robotę. W świetlicy śpiewane są piosenki ułańskie a nie robi się tego, co należy, że razem z mężem "zastawiamy" się dzieckiem.

W świetlicy był radiowęzeł, przez który należało wyczytywać nazwiska tych rolników, którzy nie wywiązywali się z obowiązkowych dostaw. Mój mąż był rolnikiem i bracia mojego męża też byli rolnikami. Czy w tej sytuacji ja mogłam to robić? Odpowiedziałam więc, że w żadnym wypadku ja tego robić nie będę. Ani ja ani mój mąż. Moja praca jest popołudniowa a mąż musi zajmować się dzieckiem. Kiedy spotykała się z zarzutem, że nie wy-

wiążuję się ze swoich obowiązków i "zastawiam" się dzieckiem odpowiadałam, że w każdej chwili mogę zrezygnować i odejść. Na to stanowisko nie szłam z wielką chęcią.

Po roku zwolniło się miejsce do pracy w szkole. Wówczas twar- do powiedziałam, że tam wżacam. I wróciłam do swojego zawodu.

W owych czasach działo się wiele. Pamiętam kiedyś, przygoto- wywałam na jakąś akademię wiersze M. Konopnickiej. Chodziło wów- czas chyba o wiersz "Przed sądem". Przyjechał wówczas taki se- retarz PPR-u, Rusakow było jego nazwisko, z Grajewa i stwierdził: wszystko jest dobrze, towarzyszko, tylko to słowo "bóg" trzeba czymś zastąpić. Odpowiedziałam: nie, nie, już tego to ja nie zro- bię. To byłby plagiat. Jakoś szybko ustąpił. To jeszcze był sto- sunkowo mądry człowiek.

Jakoś w tym czasie zmarł Stalin. Trzeba było przyozdobić jego portret, co zresztą uczyniłam z wielką satysfakcją, przy- bierając go w czerń. Natomiast gdy kazano mi czytać jakieś tam słowo żałobne odpowiedziałam, że źle widzę przy żarówkach i wie- czorem czytać nie mogę.

Przeżyłam wiele. W każdym razie do partii nie zapisałam się. Zawsze na takie propozycje odpowiadałam, że jeśli mi poka- żą choćby jednego człowieka, który w szkole uczciwiej pracuje niż ja, to z miejsca zapiszę się. Jakoś takiej osoby mi nigdy nie wskazano.

Podjęto też zabiegi w celu pozyskania dla partii osoby mojego męża. Było to w czasie, gdy mąż studiował a moje poglą- dy na te sprawy były powszechnie znane. Mąż wił się jak pis- korz. Chciałam mu w tym pomóc. Nigdy nie używałam słowa "towa- rzysz". W Polsce mówiłam "pan" a w Rosji np. "diadia dyrektor", "diadia brigydir", "diadia uprawiajuszczyj". Powiedziałam wówczas: czy wiecie panowie, dlaczego ja nie zapisałabym się

do partii? Bo jestem wierząca i praktykująca. Oni wówczas wskazali mi nauczyciela, który też był wierzący i praktykujący a jednak zapisał się. Ja na to: owszem, zapisał się. Z tym jednak, że ten pan kryje się za filarkiem. Ja, gdy będę przekonana do partii, sama się zapiszę. Teraz nie.

Gdy wyjeżdżaliśmy do Białegostoku, należało mieć opinię. Inspektor taką opinię wydał. Nazwiska tego inspektora nie wymienię, aczkolwiek powinnam. On właśnie napisał o mnie w opinii: Nauczycielka na piątkę z plusem ale klerykałka. Na szczęście to mi nie zaszkodziło. Akurat wtedy w kuratorium pracował szwagier i wyjaśnił komu należało, na czym ta sprawa właściwie polegała.

Wracam jeszcze do roku 1940-go, kiedy to wywożono nas na Syberię. Nasz transport zatrzymał się gdzieś w okolicach Białegostoku. Teraz już nie mogę sobie przypomnieć, w którym to było miejscu. Wypuszczono nas do ubikacji, bo głośno się tego domagaliśmy, dobijając się do drzwi. Chciałyśmy też nabrać wody w pobliskiej studni. Pamiętam, że transport zatrzymał się w pobliżu jakiegoś domku. Od nas wypuszczono kilka osób: mnie, moją koleżankę Irenę i jeszcze kogoś. Z drugiej strony wagonu szedł Mioduszewski z Miruc /jechał ze swoją bratową, bardzo przystojną kobietą. Była jeszcze młoda, chyba nie przekroczyła trzydziestki. Jechała z córeczką, chyba dziewięcioletnią Krysia/. Najpierw ustawiliśmy się w kolejkę do ubikacji. Akurat przed nami wszedł on, Mioduszewski. Bardzo długo stamtąd nie wychodził. To była ubikacja zewnętrzna tzn. w budynku wolnostojącym. Zaczęłyśmy z Irką dobijać się, ale nikt nie otwierał ani nie odpowiadał. Na to nadszedł żołdat z karabinem i zaczął nas liczyć. Nie zgadzało się. Doliczył się, że brak jest właśnie Mioduszewskiego.

Zaczęto szukać. Wnet pojawiło się wojsko. W pobliżu zajścia

stała grupka młodych chłopaków, najprawdopodobniej białostoczan. Wojskowi, pewni siebie, przechwalali się: najdiom, najdiom. On stąd nie mógł uciec. Pamiętam, że wokół były łąki i gładka powierzchnia. Ci młodzi mrugali do nas i odpowiadali żołnierzom: ~~da~~ kanieszno najdiotie.

Okazało się, że go nie znaleźli. W jaki sposób, jakim cudem zdołał on wydostać się z ubikacji, nie mam pojęcia, bo nas natchmiasz zapędzono do wagonów. Widziałam przez zakratowane okienko, jak poustawiano małe armatki w stronę łąki. Szukano do zmroku. Bezskutecznie.

Już po wojnie dowiedziałam się, że ostatecznie udało się mu zbiec. Jakie były dalsze jego losy, nie wiem.

Jego bratowa była na Syberii w miejscowości odległej od nas o 65 km. Był to "ziernosowchoz" o nazwie "siewiernyj sowchoz". Pierwszej zimy z roku 1940-go na rok 1941-wszy były bardzo surowe mrozy, jak zresztą każdej zimy na Syberii. Ona wyszła po mleko dla swojej córeczki nie zdając jeszcze sobie sprawy z tego, czym jest burian. Wracając, przykucnęła przy słupie trakcyjnym obejmując go. I w takiej pozycji zamarzła. Bo tam, gdy pada śnieg, jest mróz a nie odwilż, jak u nas. Opowiadała mi o tym koleżanka, która tam mieszkała. Już jej ciała nie odmrażano. Pochowano ją w takiej pozycji, w jakiej odnaleziono. A Krysią ktoś się zaopiekował.

Była z nami pani Chelbinowa, samotna, wywieziona tak, jak stała. Miała tylko jeden komplet bielizny, który miała na sobie. Musiała go więc oszczędzać. Gdy pracowaliśmy, ona zdejmowała wszystko z siebie i wchodziła do woreczka. Była malutka i drobniutka. Woreczek zawiązywała pod szyją. Kirgizi pytali, czy u nas jest taki "zakon", że kobiety śpią w workach.

Bardzo bałam się i nadal boję się burzy. Na Syberii burza

jest straszna. Grzmoty sprawiały wrażenie, że wszystkie chmury wala się na głowę. Przed burzą nam kazano przewracać "siemiczki" tj. Ziarno słonecznikowe. Ono prażyło się na "tokach" czyli klepiskach, bez żadnej osłony przed opadami atmosferycznymi. Deszcz na to padał, ziarno gniło ale ludziom nie wolno było tego brać. Nic to, że wokół ludzie umierali z głodu. Ponieważ akurat nadchodziła burza, postanowiliśmy z koleżankami uciekać z tego "bałaganu" /tak nazywano stodołę/. Był to zresztą prawdziwy bałagan: stodoła bez okien. Czasem w niej nocowaliśmy. Już zaczęliśmy uciekać, a tu nasz brygadzysta, kontuzjowany Kirgiz zawrócił nas, bo jeszcze nie pada. Musiałśmy wrócić. Gdy jednak zaczęło padać, uciekłyśmy. On, gdy go mijaliśmy, zapytał: nu, sdiełali? sdiełali? Odpowiedziałyśmy, że tak. On na to: nu, ładno. Ponieważ byliśmy zmoczone i przez to wściekłe, powiedziałaam: " a teraz pocałuj nas ..." wiadomo gdzie. A on dalej: nu ładno. Kiedy wszystkie wybuchnęłyśmy śmiechem, zapytał, z czego my się tak śmiejemy. Na to pani Sokołowska /już nie żyje/ powiedziała, że my tak się cieszymy, bo zrobiłyśmy swoją robotę i że on nas pochwalił.

Gdy wybuchła wojna z Niemcami, zabrano wszystkich, dosłownie wszystkich mężczyzn do wojska. Mnie mianowano "uczotczikom" nie pytając nawet, czy znam język rosyjski. Najzwyczajniej w świecie kazali być "uczotczikom". Był to pomocnik buchaltera w terenie. Buchalterem był Ukrainiec, starszy człowiek. Tam buchalter nazywał się "sczitawod". Najpierw posłano mnie na "chlebouborkę" czyli do żniw. Brygadirem był Niemiec, pan Szwejder. On przez tydzień uczył mnie, jak należy pisać sprawozdania, tam zwane "swodki". W ciągu tygodnia nauczyłam się języka rosyjskiego. Na początku płakałam. Brygadzysta mnie pocieszał: wytrzymasz, musisz wytrzymać, ja ci pomogę. Z zawodu był na-

uczycielem. Tych Niemców przywieziono z Powoźża. On pochodził z okolic Saratowa. Na Powoźżu oni mieli swoje kołchozy. Tak zaczęłam pracę jako uczotczyk.

Później awansowałam na uczotczyka przy siankosach. Nocowałam w stertach, bo trzeba bało chodzić aż nad Irtysz, aby mierzyć wykonaną pracę: ile kto złożył, ile kto zestertował.

Pewnego razu pan Szwejder rzekł do mnie w zaufaniu: choć, coś ci pokażę. Sama sobie odpowiedz, czy w tym kraju i w tym ustroju może być dobrze. I pokazał mi porzuconą nowiusienką grabarkę do grabienia siana, zostawioną tu zeszłej jesieni. Tu stała przez całą zimę. Taki sam los spotkał i kosiarkę. Gdzie zakończono pracę, tam porzucano sprzęt. I nic ich więcej nie obchodziło.

Jesienią rozpoczynała się orka. Traktor wyjechał oczywiście w pole. Po dwóch godzinach pracy stanął i koniec. Trzeba było dalej orać wołami /bykami/. Robiły to bardzo często dzieci, prowadząc po trzy pary zaprzęzonych wołów. Nikt się tym nie przejmował. Mówiliśmy między sobą, że gdyby u nas ludzie tak pracowali, to chleb jedlibyśmy widelcami. Tam jednak ziemia rodziła obficie.

Kiedy przyjechaliśmy, pierwszym uprawiającym był Kirgiz. Jego ojciec był wysokim, przystojnym mężczyzną. Często przychodził do nas po tytoń / z paczek /. Wymieniony za tłuszcz lub mąkę tytoń Kirgizi żuli, wkładając pod policzek. Później tym pluli dookoła. Mój ojciec powiedział mu kiedyś, że nam nie wolno nazywać ich Kirgizami. Powinniśmy ich nazywać Kazachami. On wówczas powiedział /pamiętam to dokładnie do dziś/: kiedy ja był Kirgiz, to ja jeł malhak i pił kumys. Kiedy ja stał Kazach, aj ba jaj propał kursak. /Kiedy byłem Kirgizem, jadłem mięso i piłem szampana. Gdy zostałem Kazachem, zgubiłem brzuch/.

Opowiadał nam, że był kiedyś właścicielem całego naszego sowchozu. Zajmował się hodowlą baranów i miał ich tyle, że sam nie wiedział, ile ich dokładnie posiada.

Gdy ktoś przyjeżdżał w gości, to u nich był taki zwyczaj. Baran dostawał w łeb i trafiał do kotła. Zaczynała się prawdziwa uczta.

Kirgizka, z którą pracowałam, zaprosiła mnie kiedyś na chrzciny. To właściwie nie był chrzest, bo takiego obrzędu tam nie ma, lecz uroczystość z racji urodzenia się dziecka. W kotle był ugotowany baran i czarny makaron / z czarnej mąki / zwany przez tutejszych "łapsza". Do wody w kotle a właściwie do rosołu, wrzucano całe placki, które później rozdrabniano, chyba za pomocą łyżki. Goście jak i gospodarze siedzieli na ziemi "po turecku". W bogatszych domach na podłogach leżały maty. W domach biedniejszych leżało zwykle siano. Stoły tam były niskie. Jeden taki właśnie stół pożyczyłam do naszej ziemianki.

Pan domu siedział na honorowym miejscu. W pewnym momencie, tuż przed jedzeniem, podano mu wodę w miseczce do symbolicznego umycia rąk. Wszyscy już siedzieli wokół stołu. Przed każdym biesiadnikiem stała kisuszką, drewniane naczynie, bez uszu. W każdym takim naczyniu było trochę rosołu. Przed gospodarzem natomiast stało inne naczynie, które z wyglądu było ni to talerzem ni to półmiskiem. Na tym naczyniu leżało baranie mięso wraz z głową. Gospodarz obdzielał mięsem gości. Najpierw dzielił łeb a następnie mięso pozostałe. Co lepsze kawałki poprostu rzucał co zacniejszym gościom. Tłuszcz ściekał mu po rękach. On ten tłuszcz najzwyczajniej w świecie zlizywał, nadal kroił mięso i dosłownie rzucał gościom.

Teraz to wydaje się niepojęte. Ale wówczas, gdy człowiek

był głodny, dosłownie przymierał głodem, nie zwracał uwagi na to i jadł wszystko, co podano.

Poznaliśmy się bliżej z sekretarką miejscowego NKWD. Już nie pamiętam teraz, jak miała na imię. Ona kiedyś opowiadała nam /Polkom/dowcip. Było to wówczas, kiedy jej powiedzieliśmy, zresztą zgodnie z prawdą, że po raz pierwszy zobaczyliśmy kolejki w Rosji, w drodze na Syberię. Otóż: siedzi sobie Bóg na tronie w niebie. W pewnym momencie przychodzi Hitler. Bóg pyta go: czego tu chcesz? A Hitler na to: chcę zawojować cały świat. Bóg na to: podażdi niemnożeczko.

Po chwili zjawił się Mussolini. Po co przyszedłeś?, pyta Bóg. Ja również, wspólnie z Hitlerem chcę zawojować cały świat. Bóg na to: padażdi niemnożeczko. Wkrótce nadszedł Roosevelt. Pan Bóg zadaje mu pytanie: czego chcesz? A Roosevelt na to: Chcę zniszczyć Hitlera. Bóg: podożdi niemnożeczko.

Po chwili nadszedł Churchill. I jego Bóg też zapytał: po co przyszedłeś? A Churchill nieśmiało: wspólnie z panem Rooseveltem chcę zniszczyć Hitlera. A Bóg: podożdi niemnożeczko. Wreszcie nadszedł Stalin. Bóg pyta go: czego chcesz? A Stalin odpowiedział: "wiżu kakuju to niebut' oczered' i dumaju, czto tu czt^a niebut' dajut /zobaczyłem kolejkę i pomyślałem sobie, że może coś tu dają /.

Taki to dowcip opowiedziała nam sekretarka miejscowego NKWD.

Wiele by można opowiadać o zwyczajach i obyczajach tamtejszych ludzi. Kirgizki np. bez żenady wyciągały wszy, rozgryzały je i wysysały krew. Twierdziły, że to przecież nic nadzwyczajnego. Wszak owe wszy zawierają w sobie ich, ludzką krew. I nikogo to z miejscowych nie dziwiło. Nas to oczywiście raziło mimo głodu i upodlenia.

Notatki: Stawitskiy Dzhelio